

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 198
wrzesień 2005

SPÓŹNIONE RELACJE Z POLCONU



WIZJONER W RUPIECIARNI

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy mieliśmy w kinach dwa filmy Tima Burtona: „Dużą rybę” (wg powieści Daniela Wallance’a) oraz „Charliego i fabrykę czekolady” (wg powieści Roalda Dahla; z Johnnym Deppem w roli głównej).

Warto z tej okazji przypomnieć sobie sylwetkę tego twórcy – który w przedziwny sposób łączy w swym kinie komercyjny kicz z wysmakowanym artystem...

Pierwszym pełnometrażowym filmem młodego reżysera (i wizytówką do dalszej kariery) była „Wielka przygoda Pee-wee” (1985), komedia z popularnym w USA komikiem.

Kolejny jego film, „Sok z żuka” (1998), był wybuchową mieszanką niezwykle już wtedy popularnego kina Nowej Przygody oraz czarnej komedii (można dopatrzeć się nawet analogii do „Upiora rodu Canterbury’ów” Wilde’a). Grali w nim m.in. Michael Keaton, Geena Davis, Alec Baldwin i Winona Ryder.

Trzeci film Burtona uczynił zeń gwiazdę pierwszej wielości. Był to oczywiście „Batman” (1989) – pierwsza udana ekranizacja tego komiksu, z udziałem Michaela Keatona, Kim Basinger i samego Jacka Nicholsona. Wizja Burtona była bardzo mroczna, operowa, gotycka. Czerpała wiele z pierwowzoru, ale nie tylko – wyraźnie już widać tendencje reżysera do rozbudowanej plastyki, do mrocznych klimatów, do mieszania wizyjności z jarmarkiem.

Potem był „Edward Nożycoręki” – poetyka baśni o współczesnym Pinokiu, z przejmującą kreacją Johnny’ego Deppa (któremu partnerowała Winona Ryder).

Dzisiejsze Hollywood kocha sequele swych największych hitów, więc realizacja filmu „Powrót Batmana” (1992) była oczywistością. Burton zrealizował ową kontynuację aż... za dobrze: film jest jeszcze lepszy od pierwowzoru, ale tak mroczny i ponury, że producenci nie zdzierzyli – odebrano ten temat niepokornemu artyście, zaś dwa następne (mocno sztampowe) „Batmany” powierzono posłusznym rzemieślnikom. Obok czarnej już zupełnie tonacji filmu Burtona w pamięć zapadają role Michaela Keatona (to i jego pożegnanie z cyklem!), Michelle Pfeifer, Christophera Walkena oraz wielka kreacja Danny’ego De Vito.

„Ed Wood” (1994) to, nakręcona na taśmie czarno-białej, biografia najgorszego reżysera w historii Hollywood – autora tak nieudolnych filmów SF i horrorów, że aż doczekały się one, paradoksalnie, swych gorących fanów! Rolę tytułową Burton powierzył znów Johnny’emu Deppowi, zaś Belę Lugosiego (najsłynniejszego ekranowego Draculi, który na stare lata popadł w obłęd) zagrał Martin Landau (nb. Oscar za rolę drugoplanową). Polski paradoks: ów znakomity film trafił do naszych kin w paru zaledwie kopiach...

„Marsjanie atakują!” (1996) to totalna zgrywa, parodia filmów inwazyjnych – zainspirowana zresztą dziecięcymi nalepkami z lat 50. Drapieżna satyra plus doborowa obsada (m.in. Jack Nicholson w podwójnej roli – a chciał zagrać wszystkie!) oraz bajkowe efekty specjalne.

„Jeździec bez głowy” (1999). Tu polskie tłumaczenie jest mylące, gdyż odsyła do innego pierwowzoru literackiego – gdy w rzeczywistości to adaptacja utworu Washingtona Irvinga „Sleepy Hollow”. Wielki sukces artystyczny reżysera: przepięknie fotografowana stylowa opowieść o racjonalistcie tropiącym irracjonalne – z Johnny’em Deppem w roli głównej (po raz trzeci!) oraz z Christopherem Walkenem.

Nieustające pasmo sukcesów nie jest jednak możliwe. Remake klasycznej „Planety małp” (2001) to, mimo imponującej jak zwykle plastyki i Tima Rotha w jednej z głównych ról, zdecydowanie porażka reżysera.

Ponadto Tim Burton jest współautorem dwóch uroczych animowanych makabresek: „Miasteczka Halloween” (1993) i „Gnijącej panny młodej Tima Burtona” (2005).

URODZINY

Kochani listopadowi Jubilaci!
Udanej jesieni życia
w pow...

życzy

Redakcja

- 1 Krzysztof Kielich
- 5 Marcin Grygiel
- 6 Adam Rzymowski
- 7 Dariusz Przewoś
- 8 Piotr Mazurowski
- 9 Łukasz Łuczyński
Sławomir Seta
- 10 Marcin Rutkowski
- 11 Elżbieta Kotlarek
- 12 Joanna Piszczek
- 16 Sławomir Ginter
- 17 Łukasz Węglowski
- 26 Jaśmina Kotlarek
- 28 Adam Jakubowski
Małgorzata Stanl
- 29 Andrzej Sawicki
- 30 Konrad Wawruch



WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 18 września 2005 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

1. Sprawy organizacyjne

1.1. Omówiono sprawę zmiany statutu, związanej ze staraniem się o status organizacji pożytku publicznego. Na środę 26 października 2005 r. ustalono termin Nadzwyczajnego Walnego Zebrania.

1.2. Przedyskutowano sprawę strony internetowej GKF.

2. Sprawy personalne

2.1. Zmiany funkcyjne

W związku z urlopowaniem I wiceprezesa GKF Mariusza Czacha wyznaczono czasowo pełniącym obowiązki wiceprezesa Krzysztofa Papierkowskiego.

2.2 Przyjęcie kandydatów do GKF

Angmar: Adam Włodarczyk, Piotr Adamski

KCZK: Małgorzata Frankowska, Łukasz Kulesza, Jolanta Domańska

2.3. Zakończenie stażu kandydackiego

Angmar: Artur Płóciennik, Dariusz Ziętkiewicz, Iwona Volkmann

2.4. Skreślenie z listy członków GKF:

Na własną prośbę: Marek Michowski (First Generation)

2.5. Cofnięcie skreślenia:

Mateusz Józefowicz (Brethren), Wojciech Dowgiałło (Angmar), Mariusz Kanabrodzki (Angmar).

2.6. Urlopy

W związku z wyjazdem Zarząd udzielił Mariuszowi Czachowi urlopu na IV kwartał 2005 r. i I kwartał 2006 r.

3. Sprawy finansowe

Skarbnik GKF przedstawił informację o stanie finansów klubu i stanie subkont Klubów Lokalnych. Mariusz Czach przedstawił informację o składkopłatności w III kwartale 2005 r.

4. Imprezy

5.1. Przedstawiona została informacja o zgłoszeniu GKF jako rezerwowego kandydata do organizacji Polconu 2007. Michał Szklarski został wybrany pełnomocnikiem ds. Polconu 2008.

5.2. Przeprowadzono dyskusję o możliwości i warunkach organizacji w Gdańsku Teleportu 2006. Michał Szklarski przedstawił informację o możliwej lokalizacji imprezy.

5.3. Na 22 – 23.X.2005 r. wstępnie ustalono termin osiedlowej imprezy promującej GKF w klubie „Maciuś”.

5.4. Przedstawiona została informacja o zaproszeniu do zorganizowania jednodniowej imprezy GKF w Gdańskim Liceum Autonomicznym.

5.5. Prezesa KL poinformowali o terminach dwóch imprez. 24. IX. 2005 odbędzie się kolejna Sobota Angmarowska. W dniach 14 – 15.I.2006 odbędzie się Snotcon.

NADZWYCZAJNE WALNE ZEBRANIE GKF!

Środa 26 października 2005 roku

Szczegóły organizacyjne zostaną podane bezpośrednio w Klubach Lokalnych



Mamy zaszczyt zaprosić wszystkich fanów Star Wars na Konwent CorusCon 2005, który odbędzie się w dniach 11–13 listopada 2005 roku.

CorusCon odbędzie się w szkole nr 211 im. Janusza Korczaka, przy ulicy Nowy Świat 21a (na tyłach Empiku Megastore przy rondzie De Gaulle'a w Warszawie).

W programie:

- sesje RPG Star Wars – zarówno d6 jak i d20
- blok prelekcji, w którym znajdą miejsce te brane serio na temat między innymi historii Gwiezdných wojen, jak i tych mniej poważnych
- prelekcje, oraz nauka gry w najpopularniejsze gry Star Wars: TCG, CCG, Miniatures
- turnieje i konkursy
- zaproszonych gości
- warsztaty
- niespodzianki...

Zapraszamy wszystkich chętnych do współorganizowania CorusConu! Tak zwani "Orgowie" to tylko część wielkiej maszyny, którą trzeba uruchomić, aby zaistniał konwent. Każdy chętny do współorganizowania CorusConu ma kilka możliwości:

- zgłosić swoje pomysły na forum CC: www.corusforum.outlander.pl
- jeśli masz już gotowy pomysł na jakiś punkt programu to ściągnij i wypełnij "ankietę prelegenta". Po wypełnieniu odeślij ją na adres coruscon@wp.pl. Skontaktujemy się z Tobą aby omówić szczegóły Twojego punktu programu.

Dla współorganizatorów – zniżki przy wejściu na konwent.

Opłaty na Konwencie:

W dniu imprezy: **40 zł za 3 dni.**

Poszczególne dni będą kosztować:

- 15 zł za piątek
- 25 zł za sobotę
- 15 zł za niedzielę

Ci, którzy będą posiadać "bilety" jednodniowe powinni opuścić teren imprezy do godziny 22:00. Po uzgodnieniu z organizatorami **w wyjątkowych przypadkach** (na przykład pociąg rano) – można zostać na konwencie do 6:00.

Wszystkich chętnych zapraszamy jednak do "zaklepywania sobie miejsca" na konwencie wcześniejszą wpłatą. Przedpłata ma dwie zasadnicze zalety:

- płacisz **30 zł** za cały konwent,
- przy punktach programu, w których jest limitowana liczba uczestników, pierwszeństwo mają Ci, którzy kupią wejściówki w przedpłacie.

Przedpłat należy dokonywać na konto: PKO BP / Inteligo
50 1020555 81111128519700174

Właściciel: Piotr Wasiak / OUTLANDER W polu TYTUŁEM proszę wpisać swoje imię i nazwisko, nick oraz adres e-mail.

Termin nadsyłania wpłat **upływa 15.10.2005**. Po tym terminie wejściówkę będzie można kupić w dniu imprezy.

Powrót do źródeł

Dziewiętnaście lat minęło jak jeden dzień... Dwudziesty, jubileuszowy Polcon zorganizowany został w Błażejewku pod Poznaniem, w tym samym ośrodku, co pierwszy w historii zjazd polskich fanów fantastyki. Organizatorzy – poznańska Druga Era – przygotowali wiele atrakcji i godnie uczcili jubileusz.

Konwent odbył się w bardzo przyjemnym miejscu, tuż nad jeziorem Bnińskim. Ośrodek składał się z około dziesięciu głównych budynków porozrzucanych na długości kilometra. Była to niestety wada – nieraz kłopot sprawiało dotarcie na czas na prelekcję. Można jednak zrozumieć, dlaczego poznaniacy wybrali właśnie Błażejewko – bo poza tym zapewnione były komfortowe warunki i obsługa, nie mówiąc już o stosunkowo niskiej cenie za wynajem ośrodka. Była też piwiarnia i dwa bary. Problem był jedynie z zaopatrzeniem: właściciele sklepiku nie przewidzieli, że kilkaset osób będzie chciało jeść coś więcej niż chipsy – na przykład chleb, którego nie dało się w Błażejewku dostać – i po zakupy trzeba było iść pieszo do wsi lub jechać do pobliskiego Kórnika.

Jak zwykle uczestnicy mieli problemy bogactwa: trudno było się zdecydować, czy posłuchać prelekcji, pisarza, obejrzeć film, wziąć udział w konkursie, spotkać się z twórcami komiksów i filmów amatorskich, czy też może zagrać w LARPa, karcianki lub inne gry. W ciągu czterech dni odbyło się sto kilkadziesiąt punktów programu.



Jedną z największych atrakcji Polconu był zjazd z okazji dwudziestolecia Nagrody Zajdla – pojawiła się większość z jej laureatów, łącznie z bardzo dawno nie widzianym na imprezach Markiem Baranieckim. Wszyscy przybyli wzięli udział w kameralnym zajdłowym wieczorze wspominkowym.

Byli oczywiście również inni pisarze. Ze wszystkich gości najwięcej szumu zrobił wokół siebie Sapek – który w swoim zwyczaju prowokując publiczność do intelektualnych gier i przekomarzając się z nią, chlapnął parę słów, które dziennikarka „Głosu Wielkopolskiego” wykorzystywała później w zemście za odmowę wywiadu (oskarżając ASa o rasizm). Byli też m.in. Gienio Dębski, Marcin Wolski, Ewa Białołęcka, Wit Szostak, Andrzej Zimniak, RAZ, Witold Jabłoński, Maja Kossakowska, Jeremiasz i liczne grono młodych autorów. Szczególnie ciekawe było spotkanie z Markiem Huberathem, który opowiadał

o swojej nowej książce „Miasta pod Skala”.

Odbyło się kilka bardzo ciekawych paneli dyskusyjnych. Rozmowy dotyczyły m.in. sztucznej inteligencji i fantasy. Poza tym fani wygłosili przeogromne mnóstwo



prelekcji – np. o prawdziwej historii inkwizycji, o tegorocznym Worldconie, o Wielkiej Rzeczpospolitej i o horrorze. W bloku konkursowym można było sprawdzić m.in. swoją wiedzę o twórczości Pratchetta i o „Pieśni Łodu i Ognia”. Odbyły się również pokaz najlepszych filmów fantastycznych ostatniego dwudziestolecia i premiera amatorskiego filmu „Krypta”. Jednymi z ciekawszych punktów programu były spotkania z komiksiarzami. Odbyły się m.in. panel o tworzeniu komiksu oraz spotkania z Filipem Myszkowskim i Tomkiem Niewiadomskim. Z kolei w salce gimnastycznej na okrągło odbywały się turnieje i pokazy gier. Były LARPy, karcianki (m.in. Legenda 5 Kręgów i Spycraft), oczywiście Magic: the Gathering i Warhammer.

Klu programu było oczywiście wręczenie Nagrody Zajdla. Tym razem najwięcej głosów otrzymali Ania Brzezińska za „Wody głębokie jak niebo” i Jacek Dukaj, tym razem za „Perfekcyjną niedoskonałość”. Niestety po raz pierwszy w historii nagrody oboje laureaci nie byli obecni.

Poza oficjalnymi punktami programu przewidzianych było parę imprez. Wieczorem można było podejść na ognisko, a w ciągu dnia obejrzeć pokazy walk rycerskich, postrzelać z łuku i posłuchać gry na harfie. Kwitło też życie towarzyskie w taniej piwiarni i w dwóch (droższych) barach. Ostatniego dnia można było rozruszać się na dyskotecę. Jak zwykle wszyscy spędzali czas na pogaduszkach ze znajomymi i przyjaciółmi z całej Polski.

Były też niespodziewane atrakcje programu. Na przykład w środę rano w ośrodku zjawił się niejaki Tadeusz Duda, który – w stanie błogim – zaczął awanturować się i twierdzić, że jest VIPem. Niestety kierownictwo ośrodka nie miało ochoty na pertraktacje i zaprosiło do odwiedzin paru sympatycznych panów, którzy odwieźli Tadeusza L. do spokojnej przystani, tzw. „suchego doku”.

Organizacja była niemal perfekcyjna – nadzwyczaj liczna poznańska ekipa była sprawna, zwarta i gotowa, pewnie dzięki temu, że pokrzykiwała na siebie przez krótkofalówki. Konwent przebiegł bez żadnych zakłóceń – z wyjątkiem padającego deszczu.

Podsumowując: (pod)poznański Polcon udał się wyjątkowo. Dopisali uczestnicy (600 osób), goście, dobra była atmosfera. Oby tak dalej – za rok, w Lublinie, ma ponoć paść rekord frekwencji. Trzymamy kciuki.

Marcin Szklarski



DALEKO OD SZOSY

Polcon 2005

Polconowy licznik osiągnął w końcu kolejną okrągłą liczbę – dwudziestkę. Wskazówka wychyla się, rwie w stronę magicznego oczka. Osobiście odwiedziłem (póki co) dwadzieścia procent z tych spotkań. Nie uważam, bym był w tym względzie jakimś wyjadaczem. Niemniej jednak konwent ten wpisał się już na stałe do mojego kalendarza, do tego stopnia, iż potrzebne nań niemałe fundusze wyciągam spod ziemi. Nie żałuję ani jednej wycieczki, także tej ostatniej. Tak dobrych sposobów na odreagowanie stresów, wakacyjnych, i nie tylko, problemów jest naprawdę mało. Do tego mam pewność, że spotkam większość internetowych znajomych, wymienię poglądy czy też po prostu posiedzę przy kufłu piwa i powspominam dobre czasy.

Droga do Poznania niestety daleka, tym razem deszczowa. Teren imprezy umiejscowiony tam, gdzie diabeł mówi: "Dobranoc!". Setting: ośrodek wypoczynkowy pachnący PRL-em, domki kempingowe, dwa hotele niskiego standardu, wszechobecne kałuże (w tym jedna spora, zwana jeziorem). Przybywamy w czwartek o nocej godzinie, akredytujemy się jak zwykle z kłopotami, ale do tego zdażyłem już przywyknąć. Do własnego noclegu dochodzimy z redakcyjnym kolegą Boolem "na czuja" – latarni jak na lekarstwo, a istniejące rzucały raczej coś w rodzaju cienia. Szybka instalacja, idziemy szukać gości **Błażejewka**. Okazuje się, iż hulanki na ów dzień dogorywają, a nasza ekipa, mówiąc żargonowo, zbyt przesunięta w fazie. Zmęczeni podróżą postanawiamy udać się na zasłużony wypoczynek.

Rankiem obudziła nas piękna pogoda, taka też pozostała do końca konwentu. Promienie słonecznie, mnóstwo życzliwych ludzi, ogromna ilość spotkań – wszystko to pozwoliło na szybką aklimatyzację i przyjemne spędzanie czasu. Kilka rzeczy zdziwiło, zadziwiło, niektóre ucieszyły, zdarzyły się chwile zadumy (wspominaliśmy zmarłego niedawno **Tomka Pacyńskiego**).

Artur Baniewicz przyznał podczas kuluarowej rozmowy, iż utrzymuje się wyłącznie z pisania, taki ma sposób na życie. Pozwalają mu na to przygody Debrena oraz najświeższe dokonania na polu powieści kryminalnych. Moim zdaniem ewenement na skalę ogólnopolską, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę specyfikę gatunku i jego odbioru wśród polskich czytelników.

Po raz pierwszy na konwencie wystąpił przed czytelnikami **Rafał Kosik**. Nie rozczarował fanów "Marsa". Dyskutowano na temat misji marsjańskiej, nowych technologii, a także wpływu tychże na życie prostego człowieka. Pytano o to, czy autor wierzy w taki rozwój ludzkości, zastanawiano nad ekonomią i przydatnością podróży międzyplanetarnych. Nie zabrakło odpowiedzi na pytania dotyczące kontynuacji "Felixa, Neta i Niki". Druga część ukaże się już wkrótce, a na zaostrenie apetytu pisarz rozdał uczestnikom spotkania krótką książeczkę – "**Tajemnicę kredokrada**" – opowiadanie rozgrywane się w znanych z pierwszej części realiach.

Już niedługo światło dzienne ujrzą też nowe przygody Gamedeka. Specjalnością **Marcina Przybyłka** są ludzkie zachowania, komunikacja interpersonalna. W połączeniu ze sztafażem science fiction i komputerową pasją pisarza, czytelnik otrzymuje jeden z najciekawiej zapowiadających się cyklów fantastycznych w naszym kraju, zwłaszcza że poziom wzrasta z tekstu na tekst. Autor zaś zapowiada niekonwencjonalne rozwiązania fabularne i epicki wręcz rozmach. Jedno jest pewne – w okolicach Gwiazdki będzie co czytać.

Wśród zaproszonych znaleźli się także **Jarek Grzędowicz** i **Maja Lidia Kossakowska**. Jak stwierdził jeden z recenzentów Nowej Gildii, to pisarskie

małżeństwo może sporo namieszać w fantastyce made in Poland. Dwa rozpoczęte przez nich projekty pachną świeżością, nie zamykają się w szufladce wcześniejszych dokonań, a do tego, po prostu, świetnie się czytają.

Pod względem zgromadzonych na Polconie w tym roku gości – pisarzy, fanów, wydawców – konwent należy z czystym sumieniem ocenić na 6+. Zabrakło nielicznych, w tym laureatów nagrody im. Janusza Zajdla. Trudno byłoby tu wszystkich wymienić, wspomnę może tylko o **Andrzeju Sapkowskim**, **Rafale Ziemkiewiczu** czy też **Marku Huberacie**. Odbyły się spotkanie z sekcją filmową **Plan 9** oraz prapremiera filmu fanowskiego "Krypta". Były walki na miecze, fantastyczne dyskoteki, pokazy filmowe. Oficjalne zakończenie grą na skrzypcach uświetnił **Wit Szostak**. Słowem – wszystko, co każdy pasjonat lubi najbardziej.

Jeśli chodzi o organizację, to stała na naprawdę wysokim poziomie. Nie wspomnę o wpadkach, bo nie sposób ich nazwać uciążliwymi. Poza tym, kto kiedyś zrobił konwent bez błędu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Cieszy niewielka ilość białych dziur w programie. Gładko, sprawnie i z biglem. Gdyby nie ta lokalizacja... W pobliższym jeziorze pływać pozwolili sobie tylko najwięksi zapaleńcy, a do cywilizacji, w tym sklepów, daleko. Bez samochodu droga na teren imprezy musiała być mordęgą.

Na koniec wspomnę o kosztach. Te nie były małe – młodych fanów niewielu. Czy tak powinno się to rozgrywać? Uczestnikom nie zaproponowano noclegów we wspólnych salach, jedynie w domkach kempingowych. Szarpie po kieszeni, a do tego podobne rozlokowanie nie sprzyja powstawaniu odpowiedniego klimatu.

Polcon 2005 zakończony, kolejny w Lublinie, za dwa lata spotykamy się w Warszawie. Podsumuję jakość, atmosferę i ogólne wrażenia z obecnego dwoma słowami: "Do zobaczenia!".

Greg K1ler (www.gildia.com)

Wyniki turnieju Warhammer 40 000 11.09.2005r.

- 1 Wojciech Sawuła, Tyranids Gdańsk
- 2 Michał Chorzelski, Deathwing Gdańsk
- 3 Piotr Kupper, Tau Gdańsk
- 4 Michał Krzemiński, Tyranids Reda
- 5 Daniel Jabłoński, Imperial Guard Gdańsk
- 6 Wojciech Chroboczyński, World Eaters Gdańsk
- 7 Maciej Cyzio, Tyranids Gdynia
- 8 Łukasz Kulik, Tyranids Sopot
- 9 Artur Obczyński, Space Marines Gdańsk
- 10 Jaromir Waluszewski, Iron Hands Gdańsk
- 11 Krzysztof Filipowicz, Witch Hunters Gdańsk
- 12 Juliusz Kapka, Emperors Children Gdańsk
- 13 Anna Greszkiewicz, Eldar Gdańsk
- 14 Sławomir Seta, Wytch Cult Gdańsk
- 15 Jan Cieśliski, Space Marines Gdynia
- 16 Paweł Gorczyński, Wytch Cult Sopot



Jak tu nie być?

Toruński ZahCon to konwent, na którym trudno nie być, mieszkając na Pomorzu. Praktyczny brak fantastycznej konkurencji (no bo nie oszukujemy się... kto podskoczy?), atrakcyjna lokalizacja, względna bliskość innych dużych miejscowości z aktywnymi lokalnymi fandomami – to wszystko czyni z ZahConu nader odpowiednie miejsce do spędzenia ostatniego weekendu studenckich wakacji.

Tak było i w tym roku. Nikt, kto udał się na ZahCon, nie żałował. No, chyba że cierpiał na przypadłość zwaną „obawą próżni”, o czym zaraz. Ja natomiast wiedziałem, że pojawię się od dawna i żadna siła na niebie czy ziemi mnie nie powstrzyma. Nawet fakt, że w tym roku jechałem do Torunia z drugiej strony – ba, z drugiego końca Polski! W tym miejscu serdeczne podziękowania dla towarzysza, który dzielnie, choć sennie sekundował mi przez całą drogę z pięknego Śląska.



Z przyczyn ode mnie niezależnych początkowa, piątkowa część imprezy umknęła mi niemal całkowicie, za to gdy przybyłem wieczorem, konwent był już w pełnym rozkwicie. Można było rozejrzeć się po sklepach, szukać znajomych, wziąć udział w zwariowanych konkursach i wpaść do mieszczącej się tuż za terenem konwentu restauracji. (Tak, było piwo. Tak, było tanie. Aż za tanie. Nie wiem, co za sens robić konwent „100% bez %”, gdy napić można się, co też uczyniłem, nie ubierając nawet kurty? Jedyne z tego pożytek to fakt, że rankiem w niedzielę nie trzeba było szukać na terenie fortu pustych butelek). Atrakcji było tak w sam raz – nie powiem uczciwie, żebym był na wielu punktach programu, podobnie jak w zeszłym roku, ale na tych, które odwiedziłem, bawiłem się dobrze.

Dopisali goście, zaszczycając konwent 100% frekwencją. Był Witold P. Jabłoński i Andrzej Pilipiuk, którzy integrowali się ze swymi fanami. Stanisław Mąderek przeprowadził swoją prelekcję o reżyserskich sztuczkach i efektach specjalnych, a następnie został, aby posłuchać o Azi mówiącej o „femme fatale”.

Odbyły się LARPy, w których można było na sam koniec efektownie zginać, oraz sesje RPG, w trakcie których MG pomagali zaspianym i opornym graczom, jak mogli – jednym słowem, prawa fizyki zostały odwrócone na opak. Można było odwiedzić Games Room i nauczyć kolegów będących w stanie obniżonej percepcji grać w „Jungle Speed”. Można było zwiedzać fort, z przewodnikiem, albo i bez niego, na co wskazywały przerwane w wielu miejscach fladry. Tym razem fortu nie nawiedzał poltergeist, ale chodzą słuchy, że w sobotni wieczór buszowała po nim grupa czterech wesołych ogrów (w tym jeden szczególnie wesoły i wredny).

Atrakcją okazała się też kosmiczna, jedyna na świecie ulica Obi-Wana Kenobiego w Grochowie, zaś gmina była na tyle miła, iż podstawiła bus dla uczestników, którzy bez opłaty mogli odwiedzić tenże obiekt, a także zintegrować się *ibidem* na biwaku.

Jeżeli ktoś preferował integrowanie się przy dogasającym ognisku na terenie fortu – również i taka możliwość była otwarta. Pozdrowienia dla Artura J. Ganszyńca, który przy ognisku opowiadał historie prawdziwie niesamowite.

Przyszedł jednak czas na tę odrobinę dziegciu, która muszę zaprawić do tej pory miodną opowieść. W skrócie: Było zimno, miało i pusto. Ten ZahCon wypadł według mnie zdecydowanie bardziej blado, niż zeszłoroczny. Przede wszystkim, pustka. Nie wiem, ile osób zdecydowało się przybyć na konwent, wiem, że wielu zabrakło, nawet tych, którzy wcale nie mieli daleko. Czy to termin był zły? Ale przecież od zeszłego roku się nie zmienił. Nie do końca dopisała też aura, chociaż w murach fortu nie było lodowato, to jednak chłód mógł dać się we znaki – zwłaszcza, że na salę sypialną przeznaczono jedną z „prochowni”, gdzie drewnianej podłogi się nie uświadczy. Moje gratulacje dla McGyvera, który ogrzewał pomieszczenie prochowni otwartym tosterem!

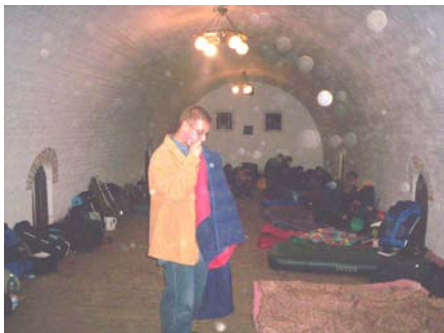


Ponieważ niewielka ilość osób została rozrzucona po dość dużym terenie, całość sprawiała wrażenie, jak by to nazwać... Niedopełnienia. Owszem, frekwencja na punktach programu przeważnie dopisywała, ale były też takie, które nie doszły do skutku, bo uczestników w pobliżu nie można było znaleźć nawet z łapanki. Zresztą rozmaite zakamarki fortu, gdzie można ukryć się przed wzrokiem niepowołanych i gdzie dawniej grupy i grupki siedziały wspólnie racząc się wodą mineralną (i piwem), tym razem świeciły pustkami. No więc gdzie się wszyscy podziali?

Byłbym głęboko nieuczciwy, mówiąc, że konwent był rozczarowujący, jednak kilka punktów musi nieco obniżyć jego końcową ocenę: od słabego, według mej obserwacji, uczestnictwa (słaba reklama?) po jakość żywienia w fortowej restauracji (kto w sobotę rano brał jajecznicę, ten w niedzielę zapiekankę i *vice versa*). Nie są to bynajmniej niedogodności z gatunku kardynalnych, ale stawiają ten konwent w szeregu ze wszystkimi innymi. Spotkać się ze znajomymi mogę gdziekolwiek, po prostu na ZahCon mam niedaleko.

Reasumując, jednak żałuję, iż musiałem opuścić konwent dość wcześniej w niedzielę. Klimat fortecznych murów miał jednak w sobie coś wręcz zniewalającego, a na dodatek może zdobył bym jakieś pamiątki... Plakat „Gamedeca” niestety nie przetrwał podróży, wygniół się niemilosiernie.

Do zobaczenia na ZahConie na rok i dziękuję wszystkim za przybycie!



raz jeszcze Goblikon 2005

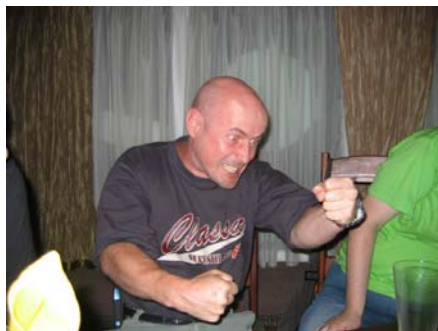
No to gdzie te gobliny?

Do Raciborza trafiłem nieco z przypadku, a może raczej dzięki uprzejmości pana Prezesa w st. sp., Krzysztofa Papierkowskiego. Papier, przyjąwszy zaproszenia organizatorów, poszukiwał towarzysza w tej dalekiej podróży, wiadomo bowiem, że przy podejmowaniu dowolnej wyprawy znacznie większe szanse sukcesu ma grupa. Nie mówiąc już o tym, że nie jest tak nudno.

Konwent Goblikon, czyli „prawdopodobnie najlepszy konwent na świecie”, okazał się być tyleż przyjemny, co pozbawiony niespodzianek. Typowa lokalizacja, czyli szkoła, adekwatna ilość uczestników i bogaty, chociaż, jak to zwykle bywa, dziurawy jak ser szwajcarski program – słowem: konwent pełną zieloną gębą.

Nie wiem, czy miała na to wpływ przypadająca okrągła rocznica pewnych ważnych wydarzeń politycznych, ale jeżeli chodzi o obowiązującą konwencję, to Goblikon przypadł w okresie szybkich zmian – walki o władzę między zielonym KC a Goblinarnością Walczą. Szkolne korytarze otrzymały odpowiednie nazwy „ulic”, można było m.in. przespacerować się „Placem Zielonym.”

W duchu epoki mieścił się punkt programu, celem poprowadzenia którego przybył Papier. Mianowicie, na spotkaniu opowiedział on o tym, jak wyglądało organizowanie konwentów, kiedy niżej podpisany na fantastykę mówił „bep”. Były eksponaty, odtajnione dokumenty z IPN (Instytutu Pamięci Nordconowej), opowieści o pierwszych fanzinach i o zapraszaniu zagranicznych gości. Także o ówczesnej władzy i kłódach pod nogi rzuconych przez nią organizatorom (ale też i o podaniu pomocnej dłoni, w kilku przypadkach). Dacie Państwo wiarę, że kiedyś na konwent przydzielano odpowiednią ilość masy mięsnej (nie pamiętam tylko, z kością czy bez).





Niestety, spoza splendoru Zielonej Rewolucji przebiegały czasami paradoksy ustroju. Nie mogę powiedzieć, że system, czyli konwent, toczył się jedynie siłą bezwładu – o nie: na tych, którzy chcieli, czekały prelekcje, konkursy, gry bitewne itp. Tym niemniej prelekcja Krzysztofa Papierkowskiego odbyła się równocześnie ze spotkaniem autorskim Marcina Przybyłka, zmuszając do trudnych wyborów. Pomimo, iż fanów było całkiem sporo, frekwencja na punktach programu bywała słaba. Szwankowała nieco organizacja, bowiem zgłoszoną „zapchajdziurę” (ot, taką małą prezentację, którą zaoferowałem się wykonać) poprowadziłem w końcu na obiedzie w pobliskiej restauracji, dla grupy organizatorów, VIPów i bliższych znajomych. Nawiasem mówiąc, organizatorów można było spotkać tam równie często, co na terenie konwentu. Bez przykrości i incydentów nie obyły się też LARPy, w których brały udział najwyraźniej nie dość odpowiednie osoby.

Na plus należy owemu konwentowi zapisać zaproszonych gości, no i fakt, że dla wielu osób była to bardzo dobra okazja do podtrzymania kontaktów i rozwinięcia fantastycznych zainteresowań. Może niekoniecznie zachęcałbym do uczestnictwa w Goblikonach fanów z Pomorza, ale to tylko ze względu na odległość.

Sebastian M.

Lenartowicz

Z listów/maili do redakcji "Informatora GKF":

Jesteście do dupy. Czemu nie poruszacie w swoim piśmie Problemów? Płyniecie jak amfibia na fali komercji i rozrywkowości. Idziecie na łatwiznę!

... i miesiąc później od tej samej osoby

Jesteście strasznie prymitywni. Nie ma u was żadnej Głębi. Prześlizgujecie się po problemach jak szmatka do kurzu po zardzewiałej karoserii, a tu potrzeba czegoś więcej: rozpuszczalnika i papieru ściernego. Do Problemów trzeba dotrzeć, ale do tego potrzeba solidnego szuru-buru. Nie bądźcie tacy płytki! Zamiast być jakiego szast-prast musicie przelupać się młotkiem pod karoserię rzeczywistości i dotrzeć do tego, co naprawdę ważne. Pamiętajcie! Z impetem w głąb!

Drogi „Informatorze”!

Z przyjemnością stwierdzam, że poziom Waszego pisma powala na kolana. Cała Wasza konkurencja jest po prostu do chrzaniu. Co prawda nie czytam Waszych rywali (tj. "Lokusa"), ale i tak mi się nie podobają. Tak trzymać!

NIUSY

„CZARA OGNIĄ” DRESZCZOWCEM?

Mike Newell, reżyser czwartej części przygód młodego czarodzieja, zdradził magazynowi SciFiction (zdobywcy ostatniej Nagrody Hugo w kategorii: strona internetowa), że starał się zrealizować „Harry’ego i Pottera i Czarę Ognia” jako thriller. Zastanawiając się, w jaki sposób zmieścić 700 stron książki w jednym filmie, brytyjski reżyser doszedł do wniosku, że powinien skupić się na planowanym powrocie złego czarodzieja Voldemorta i na tym, w jaki sposób dla urzeczywistnienia tego planu jest mu potrzebny Harry. Aby skrócić opowieść, Newell i scenarzysta Steven Kloves wykreślili ze skryptu wszystko, co nie wspierało wprost głównego wątku; Newell najbardziej żałował krótkiego epizodu u rodziny Dursleyów, uznając jednak, że nie ma on centralnego znaczenia.



Mimo że historia ma zdaniem reżysera „fantastyczne elementy”, chciał on do niej podejść „tak realistycznie, jak to możliwe”; wprawdzie zawiera „różdżki i tym podobne rzeczy”, ale Newellowi przypomina „to, jak się żyło w Europie lat trzydziestych: było tam coś naprawdę niedobrego – posuwającego się bezlitośnie naprzód – a ludzie albo zamierzali coś z tym zrobić, albo nie zamierzali czegoś z tym zrobić”. Można więc „zrobić z niej bardzo realny świat”.

„Czara ognia” będzie miała światową premierę 18 listopada, natomiast na ekrany polskich kin wejdzie tydzień później.

misz



HARRY POTTER JAKO 007?

Według magazynu Contact Music Daniel Radcliffe jest – obok 19-letniego Jamiego Bella, znanego z filmu „Billy Elliot” – jednym z kandydatów do roli nastoletniego Jamesa Bonda. Film „Silverfin” oparty ma być na pierwszej z serii książek brytyjskiego komika Charliego Higstona o agencie 007 jako 13-latkę rozwiązującym zagadki kryminalne. Fabuła ma podobno koncentrować się na pobycie młodego Bonda w brytyjskiej szkole Eton, ale producenci chcą podnieść wiek nastoletniego szpiega.

misz

MIYAZAKI ZAADAPTUJE „ZIEMIOMORZE”?

Jak donosi Anime News Service, Hayao Miyazaki przymierza się do realizacji animacji opartej na cyklu książek Ursuli K. Le Guin o Ziemiomorzu. Rozmowy na temat adaptacji prowadzone są podobno z japońskim wydawcą książek Le Guin, Iwanami Shoten, który dysponuje także prawami do filmu. Są to wiadomości nieoficjalne, serwis powołuje się na anonimowe informacje umieszczone w sieci przez jednego z pracowników wydawnictwa.

Deckard (www.gildia.com)

„NAZNACZENI BŁĘKITEM” – KONKURS LITERACKI

Przed premierą powieści Ewy Białoleckiej „Naznaczeni błękitem” Wydawnictwo Runa organizuje konkurs na fanfik. Aby zdobyć książkę z autografem autorki, należy napisać krótki tekst, w którym wystąpi co najmniej jeden z bohaterów „Naznaczonych błękitem”, „Kamienia na szczycie” oraz „Piołunu i miodu”. Magowie opuścić mają Lengorchię i świat fantasy, a tekst można napisać w dwóch konwencjach:

- grozy, czyli mroczny, wielkomięjski świat wilkołaków i wampirów

- SF, czyli obca inwazja z kosmosu.

W tekście muszą się znaleźć trzy wypowiedzi:

- To niemożliwe, talerze nie latają.

- Bardzo cię proszę, zostań moim wrogiem.

- Ta rzecz jest nieufna. Nie ufam jej.

Muszą się również pojawić co najmniej trzy z wymienionych poniżej elementów (użyte w sposób całkowicie dowolny): owoce morza, feminizm, króliki, smoki (lub smok), farba olejna, lochy (lub locha), kubek, wykałaczka, telewizja, czosnek.

Cała reszta zależy od autorów tekstów. Gatunek literacki jest zupełnie dowolny: dramat, komedia, tragedia, poemat (jeśli ktoś potrafi), kryminał, romans itd. Napisanie romansu grozy z królikiem w tle może być sporym wyzwaniem literackim...

Najzabawniejsze i najbardziej pomysłowe fanfiki zostaną opublikowane na stronie internetowej wydawnictwa, a oceniać będzie je sama Ewa Białolecka. Konkurs trwa do końca października, a teksty należy nadsyłać na adres: sekretarz_redakcji@runa.pl z dopiskiem „Konkurs”. Objętość tekstów nie może przekroczyć 15 stron znormalizowanego manuskryptu (1800 znaków na stronie, czyli 27 000 znaków łącznie). Prosimy przysyłać je jako załączniki w formacie .txt lub .rtf.

Oceniamy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem. Prosimy również o podanie adresu pocztowego – inaczej nie będziemy wiedzieli, komu wysłać książkę!

Edyta Szulc (wyd. Runa)



Z pamiętnika koordynatora konwentu
czyli przypadki Marka D.





TARSEUH

998



"Śmiesznie – nie znaczy "prześmiewczo"

Rzadko zdarza mi się recenzować książki fantastyczne. Wynika to głównie z mojego specyficznego podejścia – niewiele znajduję utworów, które zaskakują mnie do tego stopnia, że od razu pragnę podzielić się wrażeniami, a poza tym i tak wszystko jest kwestią gustu. Nauka popularna – co innego. Łatwiej stwierdzić, czy książka posiada jakąś wartość, czy nie. W przypadku pierwszego tomu cyklu o pogodniku trzeciej kategorii postanowiłem zrobić wyjątek. Dlaczego? W końcu pojawił się ktoś, kto nie usiłuje mnie zrobić w balona, atakując po raz n-ty swoją sztandarową postacią. Wędrowcyzm, aniołom i innym wiedzminom chcę powiedzieć stanowczo: „ Nie! Dość!” .

Romek Pawlak wydał już trzy powieści i każda z nich jest inna. Historia alternatywna, potem historia kolorowana fantastyką, teraz mamy do czynienia ze śmieszną, nie prześmiewczą, fantazy. Autor nie próbuje polemizować z założeniami konwencji, ale doskonale ich używa. Wykorzystuje je, by ukazać zabawną historyjkę pewnego fajtłapowatego maga. Czarodzieja, który na ogół jest nieprzydatny, a zdarza mu się być zupełnie do niczego. Z doświadczenia chciałoby się przyjąć, że takie połączenie – elfy, krasnoludy, smoki + humor, komedia – musi być głupie, dziecinne. Tymczasem trudno byłoby tak uznać w przypadku „ Czarem i smokiem. Także z powodu niewystępowania owych ras.

Świat przedstawiony to Imperium na jednym kontynencie (przynajmniej tak myślą jego mieszkańcy). Kręci się wokół stolicy – Fertu, gdzie rezyduje cesarzowa Joanna, władczyni sprawiedliwa, a zarazem bezwzględna. Główny bohater, Rosellin, po przypadkowym spaleniu świątyni w rodzinnej wiosce na stałe wziętuje się z owym miastem, a głównie z Akademią Magów. Kończy tam naukę, otrzymuje odpowiednią kategorię. Sęk w tym, że najniższą. Każdy czar jest dla niego wyzwaniem, raczej sprawą szczęścia i warunków zewnętrznych. Jego kłopoty zaczynają się w chwili, kiedy pewien malarz najmuje go do utrzymania dobrej pogody w czasie pracy. Jak się nietrudno domyślić, nie udaje się to pogodnikowi. Po pijaku zaciąga się na okręt, a gdy dochodzi do siebie na fajbie... Więcej bez szkody zdradzić nie mogę.

Kilka słów o różnicach dzielących tę powieść od innych podobnych. Autor nie nadużywa słownictwa, jakie przyjęło się w „ najlepszych” pozycjach fantazy. Brak tu skomplikowanych nazw własnych, okraszonych dużą ilością apostrofów, zestawów liter te, gie i ha (np. Hrothgar). Powoduje to, że identyfikacja z postaciami przebiega szybko i bezproblemowo, a po lekturze wiemy, jak nazywał się, powiedzmy, Główny Mag. Nie ma też śmiesznych, nawiązujących do rzeczywistości, mian – książka wypada poważnie (ja nie bardzo lubię takie postmodernistyczne środki). Dalej, magii w postaci fajerboli, czajnlajtingów i samondimonów jest w „ Czarem i smokiem” niewiele. To, co znajdziemy, służy wyłącznie fabule, tworzeniu klimatu, nie robi się z tego bezmyślna miotanina (na wzór jakże amerykańskiej strzelaniny).

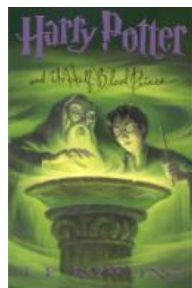
Rosellin startuje od zera, po pierwszym tomie nie powodzi mu się o wiele lepiej. Twórca nie maltretuje go jednak bezmyślnie, doświadcza, jak tylko się da. Czyni to z wyczuciem – są wloty i upadki. Żadna z maga Achaja, ale równie mocno sympatyzujemy z nim i odczuwamy jego problemy. Póki co, głównym złym okazuje się pionek (nie zdradzę, oczywiście, o kogo chodzi). Sytuacja z życia wzięta. Jednak można - nie trzeba Mechagodzilla, by przykuć uwagę czytelnika.

Zachęcam każdego do przeczytania, nie tylko młodych. Ciekawe sceny na morzu (pozbawione rei, kei, ruf itp., itd.), trochę salonowych gier, jednokartkowy epos drogi. Romek Pawlak specjalizuje się w plastycznych opisach, więc wszystko widać jak na dłoni. W tej książce liczą się uczucia – przyjaźń międzyludzka i międzygatunkowa (Rosselin-smok – tak!), miłość, nienawiść. Jak w serialu telewizyjnym, tyle że inteligentnie i z polotem. Cóż zatem więcej dodać? Fantastyka w świetnym wydaniu. Oby tylko wydana w całości.

Greg K1ler (www.gildia.com)

Romuald Pawlak „Pogodnik trzeciej kategorii”, cz. 1: „Czarem i smokiem”. Fabryka Słów, 368 s., cena: 26,99 zł

Czas odpowiedzi



Hogwart się przeżył. Był głównym bohaterem pierwszego tomu Harry'ego Pottera, a w dalszych tomach spychany coraz głębiej na margines tłem. Jego zaletą była możliwość skonstruowania pedagogicznej opowieści o dorastaniu, która od początku była zamiarem autorki; potencjał tego miejsca wyczerpywał się jednak coraz wyraźniej. Widać to było już w „Czarze Ognia”, która rozbudowywała obraz pozaszkolnej społeczności czarodziejów, a jakkolwiek „ruch” w szkole otrzymywała dzięki wprowadzeniu do niej obcokrajowców i urzędzeniu nowych rozgrywek quasi-sportowych. W piątej części jedynym właściwie *spiritus movens* placówki okazała się wyjątkowo nieprzyjemna dyrektorka; do tego młody Harry przestawał być poslušnym i szlachetnym chłopcem, zmieniając się w gniewnego młodzieńca. W tomie szóstym takiego motoru napędowego zabrakło.

W „Harrym Potterze i Księciu Półkrwi” wszystko, co ciekawe, dzieje się nie dzięki, ale *pomimo* pobytu w szkole czarodziejów. W Hogwarcie wszystko wraca do normy, odbywa się nauka i... to właściwie tyle, jeśli nie liczyć niespodziewanego powodzenia Harry'ego na lekcji eliksirów, a to dzięki tajemniczej książce podpisanej „Książę Półkrwi”, w której posiadanie wchodzi przypadkiem. Mniej więcej połowę powieści i czasu bohaterów wypełnia autorka opisami spraw sercowych: kto z kim chodzi, z kim się kłóci i zrywa, kto jest na kogo naburmuszony itd. Dodaje to niewątpliwie wiarygodności psychologicznej bohaterom którzy osiągnęli już w końcu szesnaste lat (problemy sercowe nie omijają i Harry'ego); tym niemniej drobiazgowość, z jaką oddaje się pani Rowling podobnym opisom, szybko zaczyna zwyczajnie nużyć.

Intryga, jaką konstruuje tym razem autorka, dotyczy domniemanego spisku młodego Malfoya, który otrzymał rzekomo zadanie od samego Lorda Voldemorta; ten jednak aż do samego niemal końca pozostaje w głębokim tle i nie napędza akcji. Nie czyni tego także nowy nauczyciel: profesor Slughorn, który jest wprawdzie ciekawą, „kolekcjonującą ludzi” osobowością, ale błędą jednak wobec tego, iż przypomina słabą kopię narcyza Lockhearta z tomu drugiego. W sumie przez pierwsze czterysta stron niezbyt wiele się dzieje; zwłaszcza początek jest zwyczajnie nudny i rozwlekły: owszem, pozwala lepiej zrozumieć kontekst opowieści, ale główny bohater pojawia się dopiero po czterdziestu stronach! Naprawdę ciekawe jest przez dwie trzecie tekstu coś, co z „akcją” nie ma nic wspólnego, mianowicie stopniowe odkrywanie przeszłości Voldemorta, rekonstruowanej podczas wizyt u dyrektora Dumbledore'a. Wyłania się z tych opowieści bardzo interesująca osobowość człowieka opętanego żądzą panowania nad innymi, przekonanego (nie bez podstaw) o własnym geniuszu i opanowanego pasją zapewnienia sobie nieśmiertelności.

Wyjaśnianie to zresztą bodaj najmocniejsza strona „Księcia Półkrwi”: autorka próbuje wprowadzić porządek do wszystkiego, co przyszło jej do głowy w ciągu lat pisania, w ten sposób, aby *zreinterpretować* dosłownie całość faktów i założeń świata w duchu większej dojrzałości. Służą temu nie tylko przydługie sceny na początku powieści, i nie tylko historia Voldemorta: np. odchodzi wreszcie Rowling od wypowiedzianych na głos zaklęć, które zawsze wydawały mi się wyświechtane, a do tego dość naiwne, i odkrywa nagle, że „bardziej zaawansowaną” magią jest ta, w której owo mamrotanie nie jest konieczne; bardzo spodobało mi się również, że swoistej dewaluacji, relatywizacji uległa „przepowiednia” z tomu piątego, mająca określać losy Harry’ego: ona również, mimo że autorka wyposażała magię w swoim świecie w ogromne możliwości, wydawała mi się nie na miejscu.

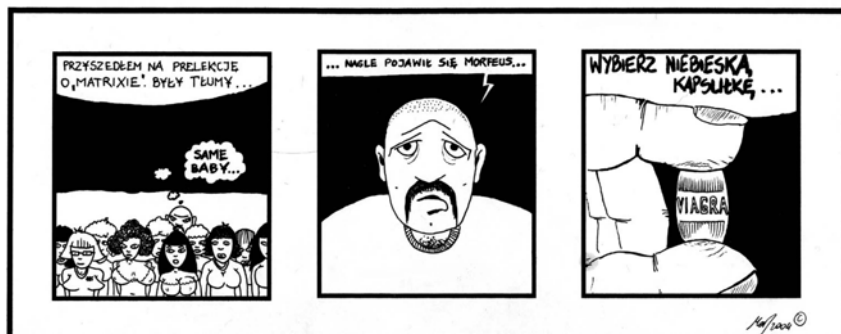
W sumie jest to zatem *tom odpowiedzi*. Całość mimo pewnej rozwlekłości czyta się jednak znakomicie, a opowieść wciąga, znacząc, że autorka opanowała swoje rzemiosło doskonale – choć jest to opowieść *inna niż dotychczasowe*: mniej sensacyjna, mniej kryminalna, a bardziej zbliżona do swojego pierwowzoru: przygodowo-obyczajowych opowieści ze szkolnego życia nastolatków. Dopiero na ostatnich stu pięćdziesięciu stronach akcja nabiera – podobnie jak w „Więźniu Azkabanu” – znacznego rozpędu: autorka odstania wreszcie odpowiedzi na wiele pytań i zadaje kilka nowych, które sprawiają, że „Książę Półkrwi” jest także dość długim wstępem do tomu siódmego, a przy tym pokazują, że autorka także zdaje sobie doskonale sprawę, że Hogwart się przeżył. W końcówce Rowling doprowadza wreszcie do kolejnego starcia dobra ze złem, zwiększając emocje dzięki tym razem porządnie (nie jak w piątym tomie) odrobionego zabójstwa jednego z głównych bohaterów. (Jeśli gubicie się w domysłach, kto też mógł zginąć, pomyślcie, jak właściwie miałyby wyglądać „ostateczna walka” Harry’ego z Voldemortem, na którą zanoszą się w tomie siódmym. Ja odgadłem tożsamość, ofiary jeszcze zanim otworzyłem książkę).

W sumie szóstym „Harry’ego Pottera” jest w dużej mierze odmienny od dotychczasowych tomów i – o ile się nie mylę – w pełni będzie go można ocenić dopiero razem z częścią siódmą. O ile wszystkie dotychczasowe były w znacznym stopniu samodzielnymi historiami z własnymi puentami, to tutaj po raz pierwszy czuje się, że jest to element szerszej, szeroko zakrojonej opowieści. Wszystkie znaki, a szczególnie decyzja z przedostatniej strony – pozwalają przypuszczać, że pani Rowling szykuje dla nas spektakularny finał.

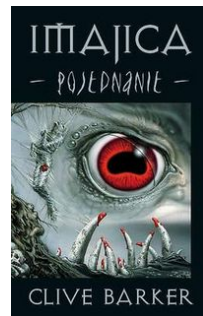
Michał Szklarski

J.K. Rowling, *Harry Potter and the Half-Blood Prince*. Wyd. Bloomsbury, London 2005. Cena det.: 16,99 funta (ok. 100 zł.).

Z pamiętnika koordynatora konwentu
czyli przypadki Marka D.



Zawsze ten sam Barker - jakiego znamy i kochamy



Długo zastanawiałem się, jak można by - w możliwie najbardziej zwięzły i jednocześnie dość sugestywny sposób - opisać przygodnemu laikowi styl Clive'a Barkera. Pisarz ten, który dał współczesnemu horrorowi postacie tak oryginalne jak Pinhead czy Candyman, posługuje się bowiem bardzo charakterystyczną w swej niewątpliwej drapieżności estetyką. Po namyśle ukułem taką definicję: gdyby ów Anglik nakręcił pierwszą część *Obcego*, to kosmita zamiast wydostawać się na światło dzienne przez klatkę piersiową, robiłby to przez pochwę (jeśli oczywiście jego ofiarą padłaby kobieta), a cały ten akt byłby pełen ogromnej dawki erotyzmu. Brzmi to odrażająco? Ohydnie? Bardziej niż patologicznie? Owszem!

Clive Barker nigdy nie osiągnął międzynarodowej popularności Stephena Kinga. Nie sadzę jednak, żeby winna temu była ewidentna różnica w jakości prozy obu panów. Barker powołuje za każdym razem do życia świat tak chory i dziwny, że przeciętny zjadacz chleba zamyka znieścaczony jego książkę już po przeczytaniu kilku stron.

Pomimo tego, że autor ten kojarzony jest przede wszystkim z literaturą grozy, duża część jego powieści to swoiste hybrydy noszące spore znamiona fantasty. Jedną z takich pozycji jest dwutomowa *Imajica*, którą sam autor uważa za swoje najbardziej eksperymentalne dzieło. Ogólny zarys historii prezentuje się następująco: jak to często w fantastyce bywa Ziemia nie jest jedynym istniejącym światem, są także inne tak zwane Dominia oddzielone od naszego Uniwersum otchłanią zwaną In Ovo. Na takowym tle rozgrywają się losy trójki bohaterów: playboya i fałszerza obrazów Gentle'a, jego ex Judith oraz androgynicznego (androgynicznej?) mordercy i dziwki Pie. I jak to bywa w fantastyce to trio niedługo odmieni świat....

Barker, za nic sobie mając zasady Hitchcocka, nie zaczyna wcale od trzęsienia ziemi. Nie znaczy to jednak, że na początku nie dzieje się nic, wręcz przeciwnie. Jednakże cała fabuła zdaje się nie mieć jakiegoś konkretniejszego celu, a wydarzenia obijają się o siebie niczym atomy, nie zdążając w żadnym konkretnym kierunku. W tej fazie zapoznawania się z historią można bez większych skrępołów zastąpić słowo "czytanie" bardziej adekwatnym określeniem: "brnięcie". Jak jednak mawiają kobiety "prawdziwego mężczyznę nie ocenia się według tego jak zaczyna, lecz jak kończy". A Barker kończy jak stuprocentowy samiec. Pod koniec pierwszego tomu główny koncept zaczyna się coraz bardziej klarować, a fabuła stopniowo nabiera wręcz kosmicznego rozmachu...

Historia historią, jednakże tak naprawdę sednem prozy Barkera jest coś innego. Co? Wspomniana już przeze mnie estetyka i specyficzny klimat. Można to nazwać swoistym przerostem formy nad treścią, czemu nie. Jednakże w niszy okupowanej przez autora nie jest to do końca wadą. Czy umniejsza mu to jako artyście? Fantastyka z całą swoją rekwizytornią i trochę innymi priorytetami tak czy siak stoi w opozycji do mainstreamu, więc szafowanie etykietkami sztuki i "sztuki" nie ma tu większego sensu. Ważne, że Barker wywiązuje się z postawionego sobie celu znakomicie. Cała *Imajica* ocieka groteską i perwersją. Nie typowa horrorowa przemoc wiezie tu prym, lecz seks oraz erotyka. Pełno tu sugestywnie opisanych stosunków zarówno międzyludzkich, jak i tych prowadzonych z niezemskimi istotami. Na pierwszym planie mamy niecodzienne małżeństwo człowieka z hermafrodytą, przybierającym najczęściej postać mężczyzny. Najprawdopodobniej związek ten jest odbiciem homoseksualnej orientacji samego Barkera. Można by pomyśleć, że taka literatura adresowana jest jedynie do zboczeńców znudzonych typowymi niemieckimi produkcjami filmowymi. Otóż nie. Powieść ta nie

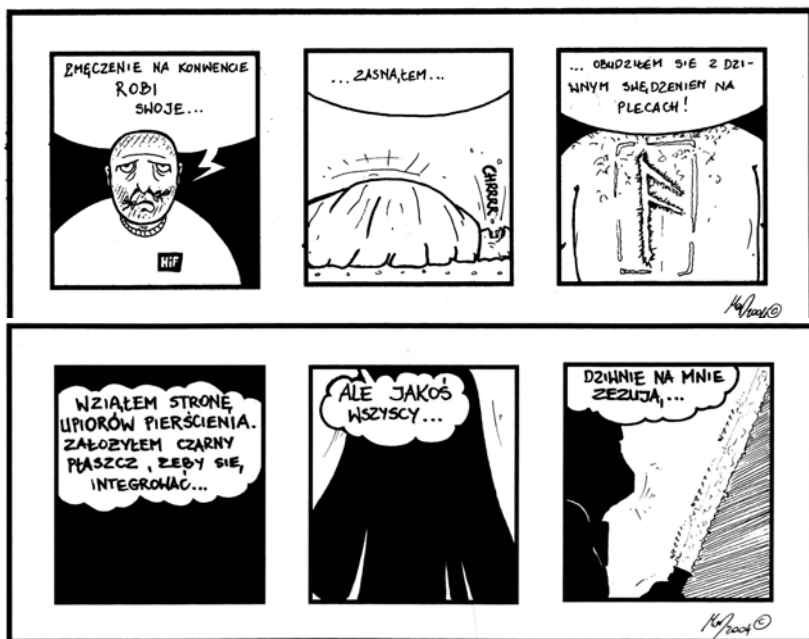
epatuje chamską czy wulgarną seksualnością zмирzającą do wywołania taniej podniety. Może zabrzmieć to dziwnie, ale styl Barkera cechuje pewna doza subtelności, nawet elegancji. Całość spaja atmosfera dekadencji i wynikającego poniekąd z niej hedonizmu. Już w opowiadaniu *Powrót z Piekla*, będącego kanwą słynnego "Hellraiser", pokazana była gorączkowa pogoń za przyjemnością stającą się dla wielu sednem życia. Należy jednak wspomnieć, że świat *Imajici* nie jest jednobarwną, pornograficzną areną. Zamkniętą w ramach okładki dostajemy całą paletę kolorów, wizji innych światów: dziwnych i poetyckich. Nie tylko makabrę ma bowiem twórca *Pojednania* i *Piątego Dominium* w swoim arsenale; nieraz sięga po kolorową, niemal dziecięcą baśniowość. W dodatku nad tym wszystkim unosi się przyjemna aura mistycyzmu i religijnego eklektyzmu. W tej kwestii "duchowy obraz świata" *Imajici* wielu osobom może wydać się dość bluźnierczy, choć nie było to raczej zamierzeniem autora; Barker dość swobodnie posługuje się mitologią chrześcijańską. Silne zdają się tu być echa gnozy, której odpryski mamy w całym książkowym Uniwersum, celu podróży Gentle'a czy w fantasmogrycznych scenach wzajemnego pożerania się kochanków.

Co by nie powiedzieć – Clive jest artystą śmiałym, nawet bardzo śmiałym. Swoją fantazją sięga poza przeciętną, pańszczyźnianą literaturę fantastyczną. A że przekracza nie tylko ramy gatunków, ale też granice dobrego smaku... No, cóż, jedni lubią herbatę, drudzy absynt. Tym drugim z czystym sumieniem polecam *Imajicę*. W końcu cenobici z "Hellraiser" też dla niektórych byli aniołami, a dla innych demonami.

Piotr Mirski (www.gildia.com)

Clive Barker *Imajica – Pojednanie*. Wydawnictwo MAG, 506 s., cena: 35 zł

Z pamiętnika koordynatora konwentu
czyli przypadki Marka D.



Odważny eksperyment

Marcin Czyszak

Pielgrzymka do źródeł skażonych,
„Science Fiction” nr 3, 2002



Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych debiutująca wówczas oficyna wydawnicza „Amber” zdecydowała się na edycję powieści Grahama Mastertona, ukazały się, prócz innych utworów, *Demony Normandii*. Utwór to mało ambitny literacko i epatujący czytelnika zbędnymi scenami „wymyślnych” (z założenia, lecz napisanych bez koniecznego wycucia stylu) aktów przemocy. Powieść Mastertona nie byłaby warta wspomnienia, gdyby nie pomysł, stanowiący osnowę fabuły *Demonów Normandii*. Masterton założył, że do ataku na obronę francuskiego wybrzeża podczas inwazji aliantów wykorzystali oni czołgi, których załogę stanowiły tytułowe demony. Jeden z upiórów zostaje po latach przypadkowo uwolniony i sieje zniszczenie, dopóki główny bohater nie odsyła go do piekielnych czeluści.

Dekadę później podobny zamysł wykorzystał (z lepszym — co trzeba dodać — efektem) Marcin Czyszak w opowiadaniu *Pielgrzymka do źródeł skażonych*. W utworze tym hitlerowcy nie przyzywają jednak pomniejszych demonów, lecz zawierają pakt z Szatanem (pomysł to nie aż tak absurdalny, jak się może wydawać, zważywszy na fascynację Hitlera okultyzmem). Konsekwencją tego układu, gwarantującego III Rzeszy zwycięstwo, są akty ludobójcze: masowe egzekucje, sądy polowe, obozy koncentracyjne, wreszcie zagłada Żydów i Cyganów.

Czytelnik jest świadkiem ostatniego aktu krachu faszystowskich marzeń o Tysiącletniej Rzeszy, „wędrując” z oddziałem zbrodniczej Einsatzgruppe przez ogarniętą wojenną pożogą Kraj Warty. Główny bohater, szeregowiec Walter Thomala, jest świadkiem, a zarazem uczestnikiem marszu, zakończzonego w dolinie Armageddonu, dokąd trafia z esesmanami po śmierci w starciu z Rosjanami. Wtedy też dowodzący nimi Kurt Ehrlich uświadamia sobie bezsens popełnionego okrucieństwa, które miało być ceną za szatańskie wsparcie. Zwłaszcza ze żadnej pomocy inkryminowany upadły anioł nie udzielił i udzielić nie zamierzał. Na pokutę jest już jednak zbyt późno i wrogie zastępy Dobra i Zła zstępują w dolinę, szykując się do ostatniej bitwy.

Utwór Czyszaka — zwłaszcza w kraju tak doświadczonym bestialstwem ostatniej wojny, jak Polska — musi budzić uczucia co najmniej mieszane. Pamięć o okrucieństwie hitlerowskiego aparatu terroru, obecna nawet w tak komercyjnych przedsięwzięciach, jak *Stawka większa niż życie*, postacie odgrywające w opowieściach o zmaganiach Hansa Klossa z Niemcami role funkcjonariuszy gestapo i SS przedstawione są w sposób eksponujący ich brutalny, „zwierzęcy” wygląd. Społeczne odium, jakie (co oczywiste, w pełni zasłużenie) dotknęło faszyzm, spowodowało, iż nie ma książki lub filmu, którego bohater — nazista przedstawiony byłby w sposób budzący sympatię odbiorcy — nawet marynarze będący bohaterami *Okrętu* Lothara-Günthera Buchheima wzbudzają zaledwie niechętny podziw, zaś tytułowy Walter Holz z *Przygód Waltera Holza* Dietera Nolla jest przede wszystkim zagubionym nastolatkiem, ogłupionym krzykliwą ideologią i demagogią faszystów.

Na tym tle sposób kreacji bohaterów w opowiadaniu Czyszaka nie odbiega od stereotypu: Thomala to opętany faszyzmem niepełnosprawny młodzieniec, który nie został wzięty do wojska jedynie ze względu na swą ułomność — słaby wzrok i ograniczoną

możliwość poruszania się. Pomimo iż widzi panikę, z jaką władze i ludność cywilna opuszczają miasteczko, *nigdy nie zwątpił w ostateczną wiktoryę. (...) Niemcy ponad wszystko* (s. 43). To jeszcze jeden z desperatów, którym nie pozostało już nic, prócz fanatycznej wiary w cud, w obliczu nieuchronnego krachu ideologii, na której się wychowali. Podobnie w cud (choć określenie to, w kontekście fabuły *Pielgrzymki...*, musi nabrać szczególnego wydźwięku) wierzy Ehrlich, dla którego pakt z Szatanem to ostatnia deska ratunku w obliczu miażdżącej przewagi aliantów, których nie zdołała powstrzymać żadna „wunderwaffe”.

Groza w opowiadaniu Czyszaka narasta powoli, ewoluując od porażenia fanatyzmem bohaterów *Pielgrzymki...* do wkraczania w obręb werystycznie kreowanego świata przedstawionego elementu ontologicznie obcego. Początkowe sygnały — dziwne zachowanie esesmanów, niewyraźne cienie towarzyszące uciekinierom, scena śmierci Manteuffela, obozowego oprawcy — można byłoby złożyć na karb zmęczenia wędrownką i rozpatrywać je w kategoriach racjonalnych. Nawet słowa Ehrlicha to pozornie bredzenie szaleńca, który widzi krach swego snu o potęgę. Podobnych wątpliwości nie pozostawia finał utworu — wędrownka zmarłych w potyczce Niemców, do których dołączają inni zabici, jednoznacznie wskazuje na wykorzystywanie w utworze poetyki horroru.

Nie zakończenie jednak porusza w *Pielgrzymce...* najbardziej, ani scena miejsca kaźni w wiejskim kościele, lecz ślepy fanatyzm, który doprowadził młodego Waltera i innych do zaprzędania się Złu w imię obłąkańczych marzeń o światowej hegemonii. Szczególnego znaczenia nabiera scena, w której Szatan (jawiący się uciekinierom jako funkcjonariusz SS o — chciałoby się powiedzieć — „wzorcowo” nordyckim wyglądem) wskazuje na „zasługi” wędrowców. Należy do nich również ślepe posłuszeństwo. Zwracając się do szeregowców, dziękuje im: *nigdy nie kwestionowaliście rozkazów (...). Zawsze słuchaliście dowódców, nie zadając pytań* (s. 61).

Czyszak odważył się na śmiały eksperyment, osadzając akcję w czasach końca II wojny światowej po to, by bohaterami uczynić faszystów, świadomych już własnej porażki. Decyzja ta zaważyła na dusznej atmosferze opowiadania, podejmującego kwestię odpowiedzialności za nazistowskie okrucieństwo. Bez tonów dydaktyzmu autor *Pielgrzymki...* przypomina, że obojętność jest winą, w równym stopniu, co czynne uczestnictwo w zbrodni — dlatego szeregowcy po śmierci podążają nadal za swym dowódcą, tak jak za życia wykonywali jego zbrodnicze rozkazy. Kiedy zaś docierają do pozostałych walczących po stronie Zła, dostrzegają, iż *twarze ich wszystkich, twarze całej tej rzeszy, były podobne. Skrzywione, opętane, szalone, bluźniercze. Złe* (s. 61), bo też i utwór Czyszaka jest opowieścią o Złu. Tytułowa zaś pielgrzymka to, przede wszystkim, próba zrozumienia własnej ciennej strony, by móc ją odrzucić. Tak jak uczynił to jeden z bohaterów — Sepp — który żałując za winy, został w chwili śmierci zbawiony.

Adam Mazurkiewicz

Z listów/maile do redakcji "Informatora GKF":

Jesteście beznadziejni. Kiedy widzę numer waszej gazety, zaczynam domyślać się, kto jest brakującym ogniwem w teorii Darwina. Dlatego od tej chwili, aby spowodować zaprzestanie waszej szkodliwej działalności, na każde spotkanie redakcji będę przysyłał 21,5 kilo zepsutych bananów o nieprawidłowej krzywiźnie. Następnie będę na was nasyłał unijnych urzędników, którzy nałożą na was tyle mandatów, że się nie pozbieracie. Ha ha ha, drżycie, nieudacznicy!

Miały być cycki w każdym numerze. Od jakiegoś czasu nic niema. Więcej cycków!

Andrzej Zimniak
Rozmyślania nad ćwiartką

Rynek wydawniczy wczoraj i dziś

Aż wstyd powiedzieć, ale niedawno stuknęło mi 25 lat od literackiego debiutu. Taki zacny jubileusz jest dobrą okazją do podsumowań, porównań i przekazywania doświadczeń. Zwłaszcza że fandom jest młody - większość fanów, których spotykam na konwentach, narodziła się już po upadku PRL-u. Korzystam więc z okazji i dzielę się garścią luźnych refleksji.

Jestem jednym z nielicznych obecnie aktywnych pisarzy sf, którzy tworzyli i wydawali w obu okresach, w epoce realnego socjalizmu i po 1989 roku, więc czuję się uprawniony do dokonania kilku interesujących porównań. Transformacja dała nam wolność i to jest bezdyskusyjne, natomiast wiadomo, że nie wszystko poszło tak, jak byśmy chcieli.

Otóż w tamtych dawnych czasach, nie do wiary - można było bez większego trudu utrzymać się z pisania. Niewątpliwie trudniej było zadebiutować niż dziś, bo dostępu na rynek broniło sito recenzji i limit liczby wydawanych tytułów, lecz już po pierwszej książce dalej szło łatwiej. Manuskrypt posyłało się do wydawnictwa, zajmującego się fantastyką, i tekst musiał uzyskać 2-3 pozytywne recenzje ludzi znających się na rzeczy. Potem czekało się ok. 2 lat i książka wychodziła, zwykle w nakładzie 30-40 tysięcy egzemplarzy. Ha, dziś najwięksi "kosiarze rynku" mogą tylko pomarzyć o takich nakładach! Jak to było możliwe, że sprzedawało się tyle książek jednego autora? To proste - w wyniku ochrony naszego rynku księgarskiego, działającej na identycznej zasadzie jak ochrona celna.

Nie było swobodnego napływu tytułów zza granicy, ten przepływ był ściśle regulowany i reglamentowany. Ustanawiano limit roczny np. 10 tytułów do tłumaczenia, i na tyle dawano zezwolenia i przedzielano papier - tak, papier był towarem reglamentowanym! Tytuły wybierali przedstawiciele wydawców i ministerstwa, a propozycja, jak i wszystkie inne ważne decyzje, była zatwierdzana w Komitecie Centralnym PZPR lub partyjnej komórce ministerialnej. Na szczęście propozycje wychodziły w dużej mierze od specjalistów, więc tłumaczono w zasadzie tylko dobre książki, nawet jeśli transakcja była wiązana (jak coś z zachodu, to też coś ze wschodu). Zaletą takiego systemu było to, że właściwie wszystkie wydane pozycje warto było przeczytać i fizycznie dało się to zrobić, bo było ich niewiele. Dla porównania, dziś w Polsce drukarnię opuszcza jeden tytuł dziennie (!) z fantastycznej branży. A więc, przed 1989 rokiem przy niewielkiej podaży książek i tytułów zostawało na rynku dosyć miejsca na twórczość rodzimą.

Teraz o honorariach. Przypuszczam, że ktoś odpowiedzialny za literaturę w KC ustalił, ile pisarz powinien napisać w ciągu miesiąca. Bez zbędnych ceregieli sięgnięto po stosowaną w wydawnictwach miarę, czyli arkusz autorski, który liczył 22 strony znormalizowane (1800 znaków ze spacjami), a więc po odliczeniu niedziel, świąt i kilku dni na leczenie zespołu niewydolności poalkoholowej, autor powinien napisać 1 stronę dziennie. Za to otrzymywał średnią pensję nauczycielsko-robotniczą, czyli wtedy 1600-1800 zł (to honorarium nijak miało się do sprzedaży książki). Tyle płacono za tzw. nakład podstawowy, który wynosił z reguły 10 tysięcy egzemplarzy. Każda wielokrotność tego nakładu była wynagradzana dodatkowo, ale nie proporcjonalnie, tylko w wysokości odpowiednio 80 i 60%, a więc autor poczynny zyskiwał więcej. Pamiętam, że za cienką książkę o objętości ok. 5 arkuszy otrzymywałem honorarium równe rocznemu zarobkowi na Politechnice, gdzie wówczas pracowałem. Stąd wniosek, że przykładając się nieco bardziej do pisania i nie robiąc

nic innego mógłbym żyć na zupełnie niezłym poziomie. Zwłaszcza, że istniały inne przywileje dla członków Związku Literatów, jak zasadniczo darmowe pobytu w Domach Pracy Twórczej, prawo do dodatkowej powierzeni mieszkanie, czy prawo do 2 tygodni urlopu ponad limit. Cóż, nie zdążyłem załapać się na te luksusy (chyba raz dostałem dłuższy urlop, i na tym się skończyło).

Były także rozmaite ograniczenia dla twórców, to wie każdy. Istniały tematy tabu, cenzorzy szaleli po tekstach, niektórych pisarzy w ogóle nie wydawano. Ja osobiście tego nie doświadczyłem, z wyjątkiem jednego felietonu, traktującego o braniu zakładników w kolejce po mięso (tak, mołojcy, wasi dziadowie i ojcowie wystawali po byle ochłap godzinami, żebyście mieli dosyć białka w zupie i rozwinęli się na bysioowych blokiersów). Jednak nie znam przypadku, żeby jakiś autor piszący fantastykę miał szlaban na publikowanie - Zajdel, Wnuk, Oramus, Parowski wydawali, choć musieli pisać szyfrem i nieco się miarkować, co dodawało ich książkom spiskowych smaczków. Mam też wrażenie, że wielu autorów po transformacji straciło rozpęd, jak już nie mogli kruszyć kopii w potyczkach z cenzurą i w walce z totalitarnym ustrojem. Po transformacji i później sprawiali podobne wrażenie jak wyalienowani żołnierze amerykańscy, którzy po powrocie z wojny wietnamskiej nie potrafili znaleźć sobie miejsca w normalnym świecie.

Nie, moi drodzy, nie marzy mi się powrót do socjalizmu, zawsze byłem bardziej na prawo niż na lewo, a supermafia komunistyczna, za nic mająca rozum, niewołająca jednostkę i marnotrawiąca ludzkie siły, napełniała mnie wyjątkową niechęcią. Co nie znaczy, że dziś wszystko mi się podoba.

Dziś mamy nadprodukcję tytułów, więc nakłady wynoszą 2-3 tysiące, osiągnięcie 5 tysięcy uznawane jest już za spory sukces wydawniczy, czyli powróciliśmy do sytuacji sprzed II Wojny Światowej. A więc, być może, jest to sytuacja normalna. Przy takich nakładach jednak nie sposób utrzymać się z pisania, zwłaszcza opłacając składki emerytalne i zdrowotne. Rzecz jasna, od każdej reguły są wyjątki, jednak mówię o znakomitej większości pisarzy, którzy albo zarabiają na życie poza literaturą, mając wtedy mało czasu na uprawianie twórczości, albo klepią przysłowiową biedę. Poza tym 2-tysięczne mininakładziki nie mają szansy w rze-czywisty sposób zaistnieć na rynku w Polsce - aby tytuł był widoczny w kraju o tej populacji, potrzeba, według księgarzy, minimum 10 tysięcy egzemplarzy. Doświadczeni pisarze bronią się przez przystosowanie - piszą więcej, znacznie więcej niż dotychczas, próbując wydać po kilka książek rocznie. W ten sposób z jednej strony łątają budżet domowy, z drugiej zaś ich utwory są bardziej widoczne na rynku. Jest to jakaś droga, choć takie rozwiązanie w niektórych przypadkach ociera się o desperację i nie przynosi optymalnych twórczych efektów. Każdy pisarz potrzebuje innej miarki czasu na donoszenie pomysłu, dopracowanie fabuły, obmyślenie puent i na samo pisanie wreszcie, jeden pracuje w tempie 1 strony dziennie, inny machnie w tym czasie 10 stron. Popędzanie, czyli bacik na leniwych, jest efektywny do pewnej granicy, za którą następuje niestety spadek jakości, powielanie schematów i auto-plagiaty.

Kolejną cechą dzisiejszego rynku jest magiczna granica szybkości schodzenia tytułu. Gdy książka się sprzedaje, ale dla księgarza zbyt wolno, nie zamawia jej więcej niż raz. No i *szlus, finito, end of the game* - książki na ladach nie ma. Jak ktoś dowie się, że taki tytuł wydrukowano, może sobie zamówić przez Internet, ale dla bywalców tradycyjnych księgarni książka po prostu nie istnieje.

Tak, Internet byłby świetnym medium dla literatury pod warunkiem, że możliwe byłoby uzyskiwanie honorariów dla autorów. Nic w tym dziwnego, bo pisarz też z czegoś żyć musi, zwłaszcza jeśli traktuje swój zawód poważnie i poświęca mu odpowiednio dużo czasu. Tak było przed transformacją kończącą historię PRL-u i tak będzie nadal, mimo różnych trochę anarchistycznych pomysłów na *copy/left* i darmową kulturę.

Fajerwerki "Solidarności"



Jeszcze o szesnastej po południu nie wiedziałem, czy mój sen się spełni. Z biletem na sercu, pełen obaw, czy znajdzie się kasjerka, która mnie tego dnia zastąpi w pracy, poszedłem na trzynastą odrabiać swoją codzienna „Selgrosową” szychtę.

Tego piątkowego popołudnia miałem być w pracy do 21-szej. Nawet gdybym się postarał nie zdążyłbym na koncert wcześniej jak koło dziesiątej. A i to przy wielkim szczęściu i dobrej duszy, która by mnie podwoziła do miasta.

Najwyżej trafiłbym na ostatnie minuty. Dobre i to...

Z niepokojem patrzyłem na zegarek i gryzłem wargi w oczekiwaniu na telefon od kasowego rewidenta. Zadzwoił o szesnastej.

– Masz Ewę... I nie dziękuj, jesteś jej winny duże wino...

– Całą skrzynkę.. - Podskoczyłem z radości do góry...

Jechałem do centrum miasta jak na skrzydłach, złorzecząc na środki komunikacji, które jak na złość nie chciały jechać punktualnie. Autobus spod Geanta, potem wypełniony szczelnie tramwaj jadący Grunwaldzką w stronę 3 Maja. Wysiadłem koło Placu Zebrań Ludowych. Była dziewiętnasta trzydzieści.

Powiedzieć, że czekałem na ten koncert kilkanaście lat to mało.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem muzykę Jarre'a?

W 1981 roku w radiowej trójce usłyszałem słynny już dwupłytowy chiński koncert. Chińska wyliczanka, odgłos uderzanej paletkami piłeczki pingpongowej i trzask migawki aparatu fotograficznego. Zakochałem się w tej muzyce od razu. Oczywiście szybko nadrobiłem braki. Odkryłem "Oxygen Equinox", "Magnetic Fields". Każda nowa płyta zajmowała miejsce w mojej kasetowej kolekcji.

Bywały płyty lepsze i gorsze. Słabsze i byle jakie. Ale każdą z nich wysłuchałem z uwagą. Każdą z nich zachowywałem w sercu, choć odsłuchiwałem je coraz rzadziej i rzadziej. Niekiedy odsłuchiwane jedynie od okazji do okazji.

Pierwszy raz mówiono o jego koncercie 15 lat temu. Właśnie w stoczni, potem o występie w Częstochowie. Ale chyba zabrakło pieniędzy, może dobrej woli.

W końcu przyjechał... Niespodziewanie, cichcem do Katowic na koncert do Spodka. Mieszkałem wtedy w Warszawie. Zbyt późno się zorientowałem, że mogę pojechać, że chyba się mi uda wyrwać z roboty. Ale biletów już nie było.

Wydzwoniłem na pewien numer 0-700, który obiecywał mi bilet chyba ze stówę. Ale się nie zaapalałem na wejściówkę. Trudno. Pomyślałem. Chyba nigdy mi się nie uda zobaczyć Jarre'a.

Pozostawały jedynie telewizyjne relacje z kolejnych „oszałamiająco wielkich” koncertów w Paryżu, Moskwie, Na Akropolu czy pod Piramidami.

A jednak...

Wiadomość o występie w Stoczni zelektryzowała mnie. Kiedy było już pewne, że koncert się odbędzie, akurat byłem na urlopie. Dzwoniłem do szefa, by mi dał dzień wolny, ale jakoś tak wyszło... Kiedy ustalano grafik byłem nieobecny, a nieobecni nie mają racji.

Na koncert szli wszyscy moi współpracownicy, a ktoś musiał zostać... W dodatku, kiedy wróciłem z wakacji, okazało się, że... biletów już nie ma... Po prostu wyprzedano je jak ciepłe bułeczki. Pozostało mi jedynie zgrzytać zębami i przeklinać swój los.

I wtedy pomógł mi ojciec. Pogadał z jednym z dawnych kolegów stoczniovców. Stoczniovcom dawano bilety za darmo. A tamten zamiast spędzić parę godzin w tłumie, wolał zamienić bilety na żywą gotówkę. Wziął 8 dych za dwa bilety, dla mnie i dla mojego brata.

No, więc bilet już miałem.

Pozostawało tylko jeszcze przekonać szefostwo, że „koniecznie muszę”, że „znajdę zastępstwo”. Że w ogóle to ja do „grobowej deski wdzięczny będę...”

Resztę już znacie.

No, więc była dwudziesta, kiedy dotarłem już pod pomnik. Kiedy przecisnąłem się w zwarty szyku w stronę mojego sektora.

Wbrew pozorom było jeszcze dużo wolnego miejsca.

Udało mi się dojść na tyle blisko, na ile mogłem.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od sceny.

Przed sobą miałem dwie ściany stoczniovcych hal, które miały pełnić rolę ekranów, na których puszczano projekcję i nieduży kwadrat sceny.

Czekałem z niepokojem na początek koncertu.

Śpiewał Sojka, ale był i tak skazany na przegrana pozycję.

- Prosimy widzów z sektora A1 i A2 o przesunięcie się w stronę środka sektora, aby umożliwić wejście widzom stojącym na zewnątrz - komunikat padał tak często, że stał się nawet swoista mantrą powtarzaną przez tłum.

Robiło się ciemno.

W końcu wybiła godzina dziewiąta.

I zaczął się koncert.

Powiem tak. Nie wiem, czy był to koncert wybitny. Moim zdaniem nie. Teraz, kiedy oglądam go z dystansu paru tygodni na swoim wideo, kiedy odsłuchuję piracki dwupłytowy album z koncertu - mam poczucie, że był on składanką różnych numerów, jakby na siłę podlaną „patriotycznym solidarnościowym sosem”.

Pierwszy raz umarłem podczas „Oksygen2”, potem, gdy zabrzmiało „Oksygene 4” i pierwszy raz wystrzeliły sztuczne ognie. I zrozumiałem, że na coś podobnego można czekać przez całe życie.

Kolejny raz łzy mi podeszły do oczu podczas „Souvenir of Poland” - bo tak trzeba by chyba nazwać ten numer. Znowu znajome trzaski migawki aparatu fotograficznego. Tylko zamiast „chińskich tekstów” - Wałęsa, papież, hymn Polski, piosenka „Boże nasz, jak ten strajk długo trwa”.

I te zdjęcia z 1981 roku rzucające na ścianę.

Choć w 1980 roku miałem 12 lat, to poczułem się dumny... Choć to mój ojciec strajkował w tamtym czasie, to ja „czułem się stoczniovcem”.

I potem „Mury”.

Nie jestem wielkim fanem Kaczmareckiego, nie mam inklinacji patriotyczno-studencko-knajpianych, ale to wykonanie miało moc. I dziwię się, że żaden z koncertów płytowych nie pokusił się o wydanie tej piosenki na singlu. To - w normalnym kraju - byłby hit numer jeden przez wiele tygodni, a u nas dupa błada.

Były utwory dla papieża, a na finał "Rendez Vous 4" - numer, na który czekałem. Nie wyobrażałem sobie, że Jarre skończyłby ten koncert czym innym...

Potem były dwa bisy, ale nie miały one już takiej siły rażenia jak ten wspaniały skoczny numer.

I tak oto niepostrzeżenie minęły dwie godziny i dwadzieścia minut.

I koncert się skończył.

Powiem to jasno i prosto. Wiele koncertów widziałem. Byłem na Rolling Stonesach, U2 w Warszawie, Tinie Turner w Sopocie. Widziałem koncertowe widowiska na wysokim poziomie. Ale to, co widziałem w tym tłumie stu tysięcy ludzi, było niepowtarzalne.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczę w swoim życiu jeszcze coś podobnego.

I tu nie chodzi tylko o muzykę, bo ta była lepsza i gorsza. Chodzi o spektakl, o reżyserię i maestrów widowiska.

Po koncercie zaraz po przyjeździe do domu włączyłem wideo i obejrzałem sobie całość jeszcze raz.

I byłem rozczarowany. Nie wiem, czy to wina telewizji, czy też moich oczekiwań, ale żadna transmisja telewizyjna nie odda tego, co tam się działo. I choćby dlatego, że widziałem to wszystko na własne oczy, nie żałuję. W TV pokazano może 30 procent tego, co naprawdę działo się podczas koncertu. I tu znów wyszła słabość realizacji koncertu w TV. Polacy nie umieją robić widowisk tego formatu. Jak można było dopuścić do tego, by ustawić kamerę w taki sposób, by to nad jej polem widzenia wybuchały fajerwerki? Techniczne niedoróbki, realizacyjne kiksy. Wstyd.

Ale i tak sobie kupię DVD. Podobno wyjdzie na Gwiazdkę...

Artur Łukasiewicz

REBUS



Co to za bestseller?

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski,
Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: David Brin (16), Marek Dąbrowski (3, 15, 19, 21), Jan Plata-Przechlewski (24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
198

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji